

Wiesław Ciesielski

DjVu45

Mężczyzna światłoczuły

Wiesław Ciesielski

*Mężczyzna
światłoczuły*

ŚLUPSK 2001

Redaktor:

Jan Towarnicki

MBP Słupsk Centrala



182111



M

182 111

824.152.1-1

Wdano dzięki wsparciu
finansowemu
Zakładu
Energetycznego S.A.
w Słupsku

© Copyright by Wiesław Ciesielski

ISBN 83-912722-6-7

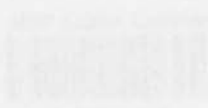
Wydawca: AGORA Społeczna Oficyna
Wydawnicza Literatów
w Słupsku

Druk i opracowanie graficzne:

Drukarnia BOXPOL
Słupsk, ul. Wiejska 28
tel./fax (059) 842 43 71
e-mail: boxpol@post.pl

Podane

zaw. zaw. zaw.



182111

182111

182111

Wydawnictwo
Zakład
ul. ...
...
...

© Copyright by ...

ISBN 95-912722-6-7

Wydawnictwo ...

Wydawnictwo ...

ul. ...
...
...

Próba modlitwy

Aby ptak ramion zakosztował wolności,
aby róża cierni rozkwitła dziewczęcą buzią,
aby rzeka myśli była stała w swoim korycie,
aby wiatr włosów marzeniami wędrował.

Dlatego o Panie,
podaj dłoń,
bo w ciemnościach tak ciężko odnaleźć drogę.

A gdy przyjdzie chleb dzielić
i rybę rozmnażać,
słuchać Twoich słów na górze,
a gdy przyjdzie dłoń zanurzyć w Twoim boku,
przyjdzie świecę w sercu zgasić,
wspomnij,
o Chryste,
o nas,
Swojemu Ojcu.

Jesień

Kłosa włosów, latawce babiego lata
wokół ścierniska czekają na swojego oracza.

Nie ma takiej równiny, której by ptak
nie zaznaczył tańcem uniesień,
Nie ma takiego drzewa,
które nadęte listowiem swoich płuc,
nie urodziłoby gniazda.

Dlatego i ja mam takie miejsce,
dokąd wracam jak syn marnotrawny
z kołatką w rękę i kosturem,
wierząc, że drzwi będą zawsze otwarte.

Wokół drzewa nie tylko się złocą,
zasypiają jesiennie,
jak kobiety.

* * *

Ktoś mi rozmienił na drobne
cały mój nieboskłon.
Świadcami niechaj będą klucze dzikich gęsi,
które tylko przelotem znaczą swe istnienie.

Tak człowiek,
prowadzi swe ujadające psy
i spytasz,
kim jestem, gdy kurhan mi usypią?
Pisklę w gnieździe ogrzeję dłońmi.
spojrzę za siebie,
podlatują, świergoczą, potrącają skrzydłami
wróble w gonitwie za okruchami chleba.

Uchwycę
każdą ocalałą godzinę życia,
wypełnię pulsującą krwią.

Będę miał pewność,
że nasze życie przyszłe,
Bóg odbierze jak bolesny poród.

Cudowne uzdrowienie

Obszary peryferyjne mojego mózgu
funkcjonują doskonale,
widzę odległy horyzont,
widzę tył własnej głowy,
rozmyślałam o kulistości ziemi.

Wydobywając skamieliny pragnień,
przychodzi starzec z kosturem,
garścią wody zaczerpniętej u źródła,
uzdrowia nasze tępe pragnienia,
naszą chorobę pragnących,

albowiem
jeżeli ktoś odnalazł
czaszkę starca,
przesiał ziarenka czasu
przez zapadłe oczodoły,
albowiem kostur do ręki syna przyrósł
i skamieniał.

Światłoczuły dotyk

Kiedy mój światłoczuły dotyk
odnajdzie Twoje usta.
Słowo,
które rodzi się jak dziecię w bólach.

Ktoś ukamienował moje słońce,
że tylko wilgotny zapach
omszałych kamieni drażni mój mózg.
Po drugiej stronie,
studnia.
Echo dotknęło dna.

Kiedy obmyjesz moje oczy
Swoim światłoczułym dotykiem?
Ale tylko wtedy,
gdy moja wiara będzie tak silna,
aby mnie uzdrowić.
Twoje słowa,
które usłyszę.
Idź,
twoja wiara odnalazła
światło.

* * *

Ptak, to nie tylko symbol,
to miara czasu,
to miara wolności
na strunie wiatru,
życie napięte do strzału.

Dwa skrzydła jak wszechświat,
mały punkt,
jedyna znajoma gwiazda,
biegnę wzdłuż brzegu
morza zranionego
odległością między nami.

Jesteś tym punktem,
w którym wszystko się zbiega.

* * *

Czy znam wszystkie te jesienne plaże,
opuszczone i zimne, z rozrzuconymi śmieciami.

Z pewnością znam dwie lub trzy,
gdzie korzenie transportują drobiny wilgoci
w rachityczne konary sosen.

Twarz nastawiam na wiatr od morza,
czuję się silny, gdy widzę jak dziecko
puszcza latawiec.

Słyszę odległe odgłosy poligonu,
obserwuję ledwo widoczne błyski na horyzoncie.
Chory elektrokardiogram zapisuje ostatnie
odruchy świata.

Pierwszy kur

Stałem się, aby żyć
za tych, którzy nie wypowiedzą żadnego słowa
oraz za samego siebie,
w absurdzie zdarzeń ważąc
winy świata oraz niewinność niemowlęcia.

Za nowe jutro,
za nowe dzisiaj.
Z nieznanym pijąc wódkę,
na tym świecie gdzie nikt nie czeka już na chwilę,
w której zanim kur trzeci zapieje,
tak ty zaprzysz się samego siebie.
Kobiety przyniosą ostatnie
wdowie grosze,
by samotność opłacić, by kupić opłatek.

Ojciec wszystkich, którzy życiem znaczą
swoją drogę.
Ojciec tych wszystkich zatraconych słów.

Drugi kur

Albowiem iskierka roznieca wielki ogień,
albowiem kropla wody drąży skałę,
albowiem Bóg stworzył wszystko i wiedział,
że jest dobre.

Dwóch kloszardów biło się o pierwszeństwo
do śmietnika.

Jak można trwać na tym świecie
w ciągłej gotowości,
niech śmierć będzie lekka i wonna
jak olejek pomarańczy,
z zamkniętej pięści wyciśnięta krew.

Stanę na końcu kolejki,
będę posuwał się do przodu,
aby skosztować śmierci,
kroki w chmurach,
moich wszystkich motyli.
Bóg wiedział, że śmierć jest dobra.

Trzeci kur

Od wszelkiego złego,
od głodu, ognia i wojny,
od nadmiernego dobrego,
od tępej sytości,

a gdy przyjdiesz wschodem i zachodem
gdzie początek i koniec,
ustawiczne trwanie,
a gdy przyjdiesz rozświetlić
drogę w ciemnościach,
tylko tym, którzy pragną patrzeć.

Kroki
w celi bez ścian,
wymykają się ludzkie cienie.

Nikt nie wierzy, że Judasz się powiesił
za wysokim ogrodzeniem,
światła, muzyka, zabawa,
nikt nie wierzy w śmierć Judasza,

dlatego, gdy kwitną jabłonie
myślę, że świat
miał już swoją apokalipsę.

Muzeum w Suzdalu

Widziałem cudowny obraz
Matki Boskiej Włodzimirskiej
w muzeum w Suzdalu.

Widząc ikonę w szklanej gablocie,
pomyślałem Matka Boska
jest martwa,

lecz usłyszałem cichy szept,
nie jestem martwa,
lecz naga.

Druga strona

Mali chłopcy grają w piłkę,
duzi chłopcy bawią się zupełnie inaczej.
Toczą śmieszne wojny,
na których umierają ludzie,
bynajmniej nie ze śmiechu.
Czy można spokojnie myśleć
i doszukać się sensu.

Próbujesz odkryć,
za czym ugania się tępy wzrok
kłószarda,
za resztkami rzeczywistości.

Poskładać strzępy wiary i sensu
jak czarno-białe domino.
Dziecięca zabawa, którą grasz
ze śmiercią,
z drugą stroną.

* * *

Każdy dzień ma swój kres,
jak człowiek chylący się do prawdy tej ziemi
nasłuchuje kroków na schodach,
którymi sam Bóg wraca na noc do swojego domu.

Myślisz o współczesnej Wieży Babel,
o tym jak pycha niszczy,
a fortuna staje się ślepa i głucha.

Tragedia naszych czasów
jawi się w tym,
że współczesny Niewierny Tomasz
po wyjęciu zakrwawionej ręki z boku Chrystusa
szyderczo krzyczy
po trzykroć
NIE

Córka chmurka

Dorotce

Twój mały stateczek,
łupinka dłoni
niosąca garstkę wody spragnionemu
ojcu.

Na sadzawki mojego nieboskłonu
puszczasz swoje małe stateczki,
córko chmurko
i twój uśmiech tęczowy
spinający horyzont,

oby tylko
nie odfrunęły żagle
twoich łódeczek,
gdzieżby wtedy szukać
motyli.

Liryki codzienne

1.

Opowiedz mi swoje ciało,
łąko o poranku zbudzona,
strącona w otchłanie twarzy,

łąko pragnienia.

2.

Cicho zakwitły drzewa cynobrem,
zaiskrzyły się deszczem,
były jak umarłe,

gdzież schronienie naszych spojrzeń.

3.

Opiszę twoje ciało od stóp do ust,
równino piersi,
w słońcu pachniesz rumiankiem

a w deszczu majem.

4.

Twoja obecność to nie tylko
pragnienie,

to wszystko na co mnie stać.

5.

Tańczyłaś
lekko,
tańczyłaś drżąco,
pragnęłaś miłości.

* * *

Oleńce

Pokaż mi uśmiech porannej rosy,
gdy dojrzewa jak owoc,
pęcznieje po pestki,
a potem
jest śmiercią największego dzwonu,
tak dyskretną i cichą
jakby sam Bóg umierał.
Wtapienie się w ziemię.
Wrastanie ustami w nieznaną pustkę.

Tylko twój uśmiech ma taką odwagę.

Niemoc

Moja wina,
że mijam cię w tłumie
niezauważoną i delikatną jak nadzieja.
Matko moich myśli
i czynów,
chwilo zawieszona we wszechświecie.

Moja wina,
że nie doniosę do ust
tchnienia,
który roznieca ogień.

Moja wina,
że nie wyjdę z łodzi
i nie pójdę po wodzie do Twojej
podanej dłoni,
świecącej w ciemnościach,
odległa gwiazda,
a zarazem tak bliska,
jak oczy
Matki,
która umarła

Zapamiętywanie żurawia

To nie lustro, cembrowiny twarz.
Dlaczego krzyczę i popadam w zwątpienie?
Pozwoliłem, aby Andersen uśmiercił
dziewczynkę z zapalkami.
Pozwoliłem na to, nic nie zrobiłem, aby żyła.
Byłaby teraz stara jak modlitwa.

Z dna nagarnę mułu sinego,
ciało topielca, wiadrami mglista noc.
Ogarek w dłoni daleki jak nigdy dotąd.
Odeszłaś i tylko żuraw ze skrzypieniem
przedrzeźnia twój dziecięcy głos.

Precz żurawiu,
precz z Twoim zapamiętywaniem zdarzeń,
dłońmi zaczerpnę choćby garstkę wody.
Precz ptaku boleśnie przyszywający
moją twarz.
Nadzieję.

Brakuje mi ostróg

Powstać i natychmiast ulecieć.
Z łoskotem uderzyć w nieboskłon.
Nikt tak cicho nie leci
jak upadły kamień,
o skrzydłach dotkniętych mchem.
Przydrożny ptaku ulatuj,
nie zostawaj tutaj ani chwili dłużej,
tam czeka na ciebie wolność
przestrzeni,
miliony ton powietrza.
A tutaj każda piędź ziemi zajęta.
Nawet na grób nie starczy każdemu.

Ptaku,
uleciałbym z tobą,
lecz brakuje mi ostróg.

Rozwieszanie pościeli

Nieba prześcierała.

Nieba powłoki.

Nieba całuny.

Rozwieszę was wszystkie na sznurze
jak życie zbyt krótkim,
jedno na drugie,
może dotrwam przemienienia.

A w ziemi, w jej głębi
zawał.

Ustało serce.



* * *

Muszę napisać człowieka.
Napisać od początku.

Tłący się papieros.
Dopalający się lont ziemi.
Ogarek trzymany w drżącej dłoni.

W ciemnościach słyszeć wilki.
Żarzące się gwiazdy.
Żar głodu.
Wycie w ludzką pustkę.
W studnię ludzkości.

Wysechnięte dna oczu.

Po ostatnią dozę wrażliwości.
Po ostatnią deskę ratunku.

Muszę napisać człowieka.
Muszę zacząć od Boga.

Bunt toru kolejowego

Z łoskotem przeleciał ptak,
stalowa febra,
milionem trzmieli po ramionach zastygłych,
słodkim zapachem czadu.

JA – trwanie.
Objaw nieprzemijania czasu
i jakbyś po mnie gnał,
nie dogonisz oddechu.
Sam w tobie wiecznie trwam.

JA – przemijanie.
Objaw nieskończoności,
a wszechświat to mały dodatek.

Dokąd?
We mnie wasze groby.
Precz!
Przeklinam gonitwę za tkliwym
tykaniem serca – zegara.
Bunt we mnie zastyga.
Rdza

Tryptyk futurystyczny

1. W skurczu

W nieskończoności śmiech śmiechutki,
bielutki dech, mech, rzep psiego ogona.
Zatańczyć, zaskowytać, zabielić
ściany i twarze wapnem.
W dole zacieranie pamięci.
Cisza się skrada. Dzwony trupieją.
Nietoperz wnętrza dłoni podaje prawicę.
Moja najcichsza, nieskończenie ważna melodio,
tam, tam, tam, tam,
dudni rytm ciała.
Nietoperz wnętrza dłoni uduszony w pięść.

2. Echo

Echo powtarza echo.
Głos utkwił kością w gardle.
Człowiek, krzyczę w pustkę.
...łowiek...
Powraca do mnie.
Miłość – krzyczę.
...iłość powraca.

Echo...
tylko powraca jak echo.

3. Śmierć

Koroneczka na trumnie.
Śmiertelna bladość.
Zacięcie ust.
Różaniec.
Na pewno nic nie czuję.
Nie żyję.
Lecz czy kiedykolwiek
żyłem?

W puste miejsce po Ikarze

Czule,
najczulsze piskłę,
dziecię człowieka,
z sutkiem księżycy w ustach usnęło,
kołysanką owiane.

Nasze ciała są naszym domem,
moja kobieta i moje dziecko,
dwa greckie posągi bogów.

Lękam się,
gardzę,
uciekam przed światem.

Nasze ciała są w locie tego samego
ptaka,
unoszącego się w puste miejsce po
Ikarze.

Śmierć w kolorze błękitnym

Wszystko wokół przestało istnieć.
Ja – w pozycji poziomej,
Zastygłem.
Przygniotło i zabiło mnie niebo,
zostałem miazgą jak łodyżka wiosenna
roztarta w palcach.
Ziarno w objęciach żarna.
Na chleb obłoki i deszcze.
Na chleb nasze bohaterstwa.

Moje oczy w kolorze błękitnym.
Moje myśli w kolorze błękitnym.
Moje czyny w kolorze błękitnym.
Moja śmierć w kolorze błękitnym.

* * *

Człowiek,
ogromna tajemnica stworzenia,
jądro wszechświata,
na obraz i podobieństwo,
centrum istnienia.

Człowiek w życiu jest jak
cyrkowy artysta,
arcymistrz tylko jednego numeru,
jednej kuglarskiej sztuczki,
którą pragnie zadziwić cały świat.

Człowiek,
strzępek ścierwa.

* * *

Śmiechu nie nauczę mówić,
niczego się nie dowiem
z jego tragizmu
i błazeńskiej maski.

Śmiechu nie nauczę płakać
w rozpacz czy pełni szczęścia.

Śmiechu nie nauczę śmiać się,

nie zaczęty,
nie skończony,
nie istniejący.

* * *

Unoszę się na wietrze,
lecę,
ja liść.

Nad cyrkową areną
trapezem rozbujany,
ja liść,
lecę.

Liryka liścia
wypełnia arenę.

Ziem **Utrillo**

Podniosę szklankę wody jak spojrzenie
w pustkę,
zadumanego pijaka nad sensem dna.

Życie jest rajem, całe stragany jablek,
dziesiątki odmian, dojrzałe, zielone,
tanie, zakazane i robaczywe.

Utrillo rozumiał ten raj,
pejzaże jego ciszy były zakazanymi
owocami,
łapczywie nadgryzane i rzucone w błoto.

* * *

Dotykasz
krajobrazów z dzieciństwa znajomych.
Te same obłoki,
te same cienie.

Cały ten nieboskłon,
pod którym nieruchomieje ciało
snem wiecznym.

Pomimo,
że świat jeszcze istnieje
w konwulsjach,
reanimowany,
pomimo wszystko
nagie nasze ciała
nie usypiają w rajskich ogrodach.

Muśnięciem ust,
pocałunek.

Ziemia obiecana

Ziemia obiecana,
na krańcach kamiennych bloków,
zielone zbiorniki życia,
kontenery odpadków,
śmieci,
utraconych nadziei.

Tabuny dzieci świata,
przygarbionych staruszków
grzebiących
we wszechświecie dobrobytu,
od których nawet psy uciekają.

Pchają wózek dziecięcy,
z przegnitym drewnianym krzyżem
z pobliskiego cmentarza,
aby wskrzesić odrobinę
wątego ciepła
w żeliwnym piecu,
w starym betonowym bunkrze.

Nastuchując

Nigdy nie wiem, czy to prawda milczy,
czy to ja jestem głuchy.
Chodząc po ogrodach wiosennych jabłoni,
zaniedbanych, ale pięknych w rozkwicie,
myślę, że moje życie to wędrówka
do miasta,
w którym nigdy nie byłem,
ale dokładnie wiem,
gdzie jest wieża kościoła,
a gdzie jasny, mały pokój z kaflowym piecem,
skórą farby na drzwiach kryjących
poszczególnych lokatorów.

Przykładam ucho do zimnych ruin,
porośniętych mchem,
nasłuchuję wieczności,
nagle słyszę radosny śmiech dzieci.

Koszmar

Nagle wyrósł przede mną
ciężarny dom,
aby urodzić moje rozliczne potomstwo,
miliardy gwiazd.

Niemilosiernie ciążyły mi chmury,
krztusiłem się ich natłokiem.

Otworzyłem.

Wewnątrz demonstracja.

Palono na stosie dziecięcą lalkę i misia.

Ktoś życzliwy poprosił mnie abym usiadł,
na skraju trumny,

która też wydawała się brzemienna

i wtedy się przebudziłem.

Świeciło słońce.

Bawiły się dzieci.

Wypowiedziane słowa

Najpospolitszy z ptaków, ptak.
Zagnieździł się na moim niebie,
kreślił tajemne znaki
gonitwy za pozywieniem.

Głód obiecuje śmierć.
Ślepy los obiecuje życie.
Niewolnictwo będzie trwać,
póki będzie żył człowiek.

I oto co ma rosnąć,
musi być zasiane
w ziemi żyznej i wilgotnej.
Życie trwa krócej,
aniżeli wypowiedziane słowa.

Skarlały świat

Skarlał ten świat, zgrabiały dłonie,
horyzont stał się garbaty,
tego zmierzchu nikt nie wylał z pieca
po upieczeniu chleba,
skarłały nasze dumne nadzieje,
dłonie otworzyły się ze wstydu,
bez wykonania ciosu,
nikt nigdy nie mówił,
że są nagie,
milcząca usłużność,
otwiera nam na przestrzał drzwi,
strzela chichotem.

Skarlała nasza nadzieja,
którą w zawiniątku,
ktoś skrycie wynosi do śmietnika.

Wypały Wigilia

Oto jestem,
źdźbło trawy,
gwiazda
co miliony lat
przybywa światłem,
choć już dawno zgasła.

Oto jestem,
słowo,
którego być może nikt nie wypowie,
może butelka dnem zaświeci,
echo odpowie na wołanie ratunku.

Fruwają motyle,
życiem wątłym igrając,
śmy w płomieniu życia,
zanućmy
tę jedyną melodię
pastoralkę.

Męczyzna światłoczuły I

Prosiłeś mnie bym przyjął Ciebie
i Twoich uczniów w gościnę.
Prosiłeś mnie o dzban wody
przy studni.
Prosiłeś mnie o siedem bochnów chleba
i dwie ryby.
Prosiłeś mnie bym sprzedał swój majątek
i poszedł za Tobą.
Prosiłeś mnie o wdowi grosz.
Prosiłeś mnie o gąbkę octu
na krzyżu konania.
Prosiłeś mnie bym obmył swoje oczy,
i przejrzał.

Mężczyzna światłoczuły II

Dłonie
w igraniu z promieniem słońca
dziewczyna
i mężczyzna światłoczuły.

Porastanie bluszczem, ciemne i wilgotne,
omszałe kamienie, ponure czoło w zamyśleniu,
ściany domu, ich głucha obojętność,
w tym małym pokoju,
w zastygłych kątach pajęczyn,
dziewczyna trzymająca w dłoniach
światłość
i mężczyzna pijący z tych dłoni,
dziewicze łóżko pod ścianą w światłocieniach,
pora wieczorowa, krople światła w jej słowach,
promienie w zasięgu podłogi i sufitu,
drzwi w nagłym zaryglowaniu,
przytłumiona muzyka miłości,
aby nikt nie podsłuchał,
nie okradł tych spragnionych ciał,
nie odarł ich ze światła.

Dłonie
w igraniu z promieniem słońca
dziewczyna
i mężczyzna światłoczuły.

Chleba powszedniego

Gdy ruch ziemi przetacza krąg zdarzeń,
po każdym trzepocie lata,
uwięziona tajemnica zasianego ziarna,
wybieranego przez zgłodniałe ptaki.

Ten raj pragnących codziennej stawy,
trzymających berła władzy,
kostury jałmużny,
kołatki naznaczonych śmiercią.

Oszołomienie deszczem,
oszołomienie słońcem,
wypalone oczy węglem,
język wyrwany.

Horyzont, który rozciął
nasze pragnienia,
jak bochen życia
na kromki nieba.

Otwieranie serca

Te żółte drgnienia,
zakwitająca w żółcieniu łąka,
w drzeniu przezroczystością powietrza,
wiosna.

Zasłuchałem się w muzykę
tysiąca fletów,
rozbudzonych z letargu pszczół.

Śpiew w powiewach i przyływach morza,
krzyczy z sieci pieszczot,
miłosnych igraszek,
fale obmywają uda i piersi.

Niewolnico wiosno,
jak dać się tobie pochłonać.

Okruchy ziemi, zgrzytające ziarenka piasku,
serce w swoim pulsowaniu,
dom mój na wydmie
i poszumie fal.

Otwieram okno,
otwieram drzwi,
otwieram ściany,
otwieram sufit,
otwieram niebo pełne gwiazd,
otwieram łąkę,
otwieram morze,
otwieram chore na wieczność serce.

Baba rosochata

To niesłychane,
ten sad
jak dojrzała rana,
nabrzmiały w swych owocach.
Stara jabłoń, jej dwa konary
jak oparta nogami o niebo baba rosochata.

Jak gdybyśmy zawarli pakt z nicością,
z absolutną beznadziejnością,
by móc uciec w tym zagubieniu.

Baba rosochata z wielkim koszem,
zbiera pospadane jabłka,
dudniące na ołtarzu dojrzałości.

I gdy zamykam oczy,
nie potrafię oderwać się,
podnoszę najpiękniejszy z owoców,
z drugiej strony okazuje się robaczywy.

Nocą drzewa zmieniają się,
rosochata baba depcze niebo,
chichocze bezzębnie
mówi, że księżę jabłka są najlepsze,
dlaczego,
nikt nie wie.

Ostatni kurs

Ostatnie godziny w hospicjum,
uczepiony rogu kołdry,
czekam na chwilę,
która się wypełni,
czekam aż pęknie mój ból,
ustanie oddech.

Jeszcze za wcześnie,
na takie czekanie,
jeszcze muszę obrócić świat
na drugi bok,
ukołysać dziecię do snu,
nakarmić psa.

Bóg mógłby przejść obok,
nie zauważyć, nie usłyszeć moich słów.

Brzęczące jarzeniówki,
to taki inny rodzaj ciszy,
to jakbyśmy wszechświat,
te miliony gwiazd,
nazwali pustką.

Ostatnie sekundy na przystanku,
przejechał,
nie zatrzymał się
był przeladowany.

Światłoczuła dziewczyna

Znam to potęgowanie światła,
wygładzona kocia sierść,
oczy zielone
i Degas malujący twoje nagie ciało.

Pusty ten świat jak bywa pusty pokój.
Ściany mistyczne wzniesionego ołtarza.
Sufit firmamentem nieba,
biegnę ustami po krawędzi światła,
falujące w oddechu piersi,

pod słońce patrzę
przez kobierzec liści zielonych,
żyłki światła.

Degas znał wszystkie zakamarki
twojego światłoczułego ciała,
tylko nie wszystkie namalował.

Moje modlitwy

Długie korytarze kojarzyły mi się zawsze
ze szpitalem.
Zasłona mgły, brak odległych horyzontów.
Próg do mojego poranka
jest tuż pod gołą stopą.
Przekroczyć.
Napić się źródlanej wody.
Posłuchać tokowania głuszcza,
plusku pstrąga, czy skrzeku perkoza.

Lampa nostalgiczna u sufitu,
białe ściany,
ból strzykawki,
reanimacja niebosktonu,
śmierć głucha jak prośby.

Wysłuchaj Panie
mojej modlitwy strumienia,
mojej modlitwy płomienia,
mojej modlitwy milczenia.

Zamysły natury

Ciemności drażące ludzkie umysły,
jądro światła.

Narodziny gwiazdy, cudownego dziecka,
ogień w swej gwałtowności,
jest naszym zbawieniem,
strumień w swoim szemraniu,
jest tylko szemraniem.

Spojrzenie rozbiegane w zamysłach natury,
pisklą, które wypadło z gniazda,
kotki utopione w rzece,
potrząsam ciemnym niebem,
wałę pięścią,
poszarpane cumy puszczają,
dryfuję w przestrzeń,
w spróchniały horyzont czasu.

Najbardziej chciałbym być
drzeniem liścia,
który bezpowrotnie poddaje się zamysłom natury.

Przyptywy

Pozostawione dla fal nieruchome pale,
które jednak w bezruchu poruszają świat,
owoce, które nie zdążyły dojrzeć,
Księga Rodzaju
jak dłoń trzymająca kostur
i złoty cielec z drugiej strony ludzkiej jaźni.

Ciągle przyptywy historii,
otwieranie pożółkłych ksiąg,
na chybił trafił,
wylosujemy potop, albo wojnę.

Odptywy synów i córek,
morze w milczeniu
zaślubin
solą i krwią.

Sąd ostateczny

A Polska? Milcząca Wisła.
Mająca swoje źródła na dalekim Kazachstanie,
a odpływ w dzisiejszych czasach, na stole chirurgicznym,
amputacja polskości,
wyrwanie serca,
dla tych, którym czas Ojczyzny się zatrzymał,
nikt orderów nie niesie.

Czekają na śmierć.

Pragnienie

Skrzypienie zawiasów,
wieko skrzyni zamknęło
uporządkowane wnętrze.

Pokonany przestrzenią na wyschniętej pustyni,
pokonany pragnieniem,
przełamany progiem domu.

Wszystko to co na zewnątrz,
rozrzucone po świecie,
nie da się zebrać.

Stukasz kołatką,
na środku pustyni,
które ze skrzypieniem drzwi zawiasów,
otworzą
i wpuszczą cię do środka,
uporządkowanego wnętrza

spełnienia.

* * *

Anarchista na rumowisku
szuka okaleczonej lalki swojej córeczki,
napisy wymalowane na ścianach białą farbą,
świecąca w ciemnościach,
nie rozumie treści
odlane z ołowiu chmury
i łabędzie z brudnymi piórami
w przydrożnej sadzawce.

Tylko ten dźwięk dzwonu,
przejmujący,
a zarazem spokojny,
dzwoni tak od wieków.

Samochody przejeżdżające w rytmie TECHNO
Całe popołudnia,
jak wieki,
przelewają się z pełnej misy.
Zatrzymaj się.
Posłuchaj.
Przypatrz się,
jeszcze na to Cię stać.

Żniwa

Krzyż. Zabytkowa chrzcielnica.
Drewniane główki aniołków.
Organista ochryłym, spokojnym głosem
śpiewa pieśń
...tam właśnie teraz zakwitły kwiaty...

w ścierniskach cięte główki bławatków
i maków
wśród tumanów wróbli wybierających
przejrzałe z kłosów ziarno.

Gdziekolwiek prawda milczy,
Tam słowo nie otworzy ust.

Narodziny słowa

Słowa wypowiedziane szumem morza,
drażą ciszę ziemi,
pochłaniają ślad odcisnięty na brzegu
przez Pana Boga,
pochłaniają
na obraz i podobieństwo ślad
człowieka.

Słowa bijącego dzwonu,
żywe serce.
Dlatego ptakom stworzył Bóg
skrzydła i dziób,
a człowiekowi
dał słowo.

Litania światłoczula

Prochu ludzkiego ciała.
Zmiłuj się nad nami.
Prochu ludzkiego czynu.
Zmiłuj się nad nami.
Prochu śladu na ziemi.
Zmiłuj się nad nami.
Prochu, z którego powstanie życie.
Zmiłuj się nad nami.
Prochu, na którym życie urośnie.
Zmiłuj się nad nami.
Prochu, który zabijasz.
Zmiłuj się nad nami.
Prochu, który nie gaśniesz.
Zmiłuj się nad nami.
Prochu, który powstajesz.
Zmiłuj się nad nami.
Prochu ciepła dłoni.
Zmiłuj się nad nami.
Prochu pocałunku.
Zmiłuj się nad nami.
Prochu chleba.
Zmiłuj się nad nami.
Prochu ludzkich mrowisk.
Zmiłuj się nad nami.
Prochu, któryś napłynął wiatrem od morza.
Zmiłuj się nad nami.
Prochu szeptanej modlitwy.
Zmiłuj się nad nami.
Prochu wszechwiedzący.
Prochu światłoczuly.
Prochu.

Epitafium

Aby nasze słowa nie dotknęły
ziemi,
aby nasze ptaki nie dotknęły
kamienia,
aby nasze światło nie dopaliło
kaganków,
aby nasza miłość nie ogłuchła
tykaniem zegara.

Trzeba urodzić epitafium
dla umierającego świata.

* * *

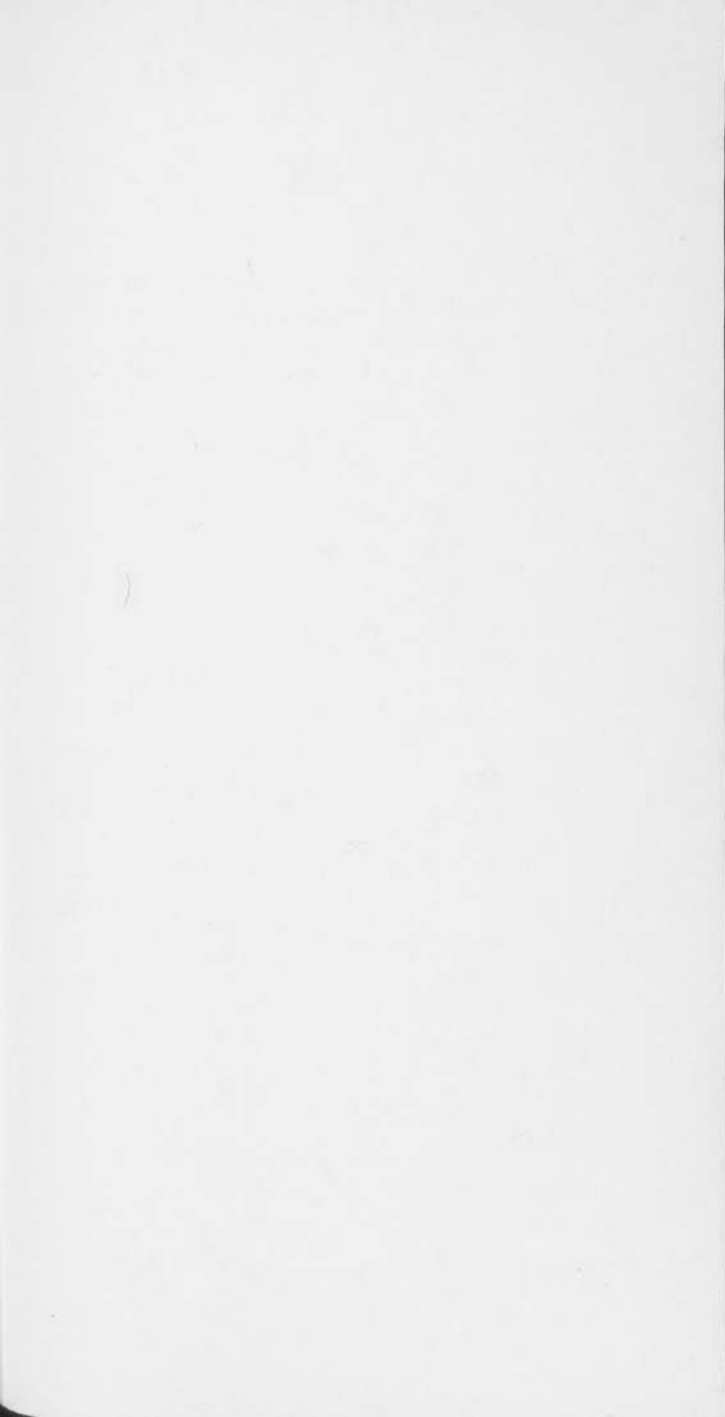
A teraz będę obłokiem,
dalekim od ziemskich problemów.
Będę początkiem i końcem,
myślą zawieszoną
przez
niedopowiedzenie.



Spis treści

Próba modlitwy	5
Jesień	6
* * *	7
Cudowne uzdrowienie	8
Światłoczuły dotyk	9
* * *	10
* * *	11
Pierwszy kur	12
Drugi kur	13
Trzeci kur	14
Muzeum w Suzdalu	15
Druga strona	16
* * *	17
Córka chmurka	18
Liryki codzienne	19
* * *	20
Niemoc	21
Zapamiętywanie żurawia	22
Brakuje mi ostróg	23
Rozwieszanie pościeli	24
* * *	25
Bunt toru kolejowego	26
Tryptyk futurystyczny	27
W puste miejsce po Ikarze	28
Śmierć w kolorze błękitnym	29
* * *	30
* * *	31
* * *	32
Utrillo	33
* * *	34
Ziemia obiecana	35
Nasłuchując	36
Koszmar	37
Wypowiedziane słowa	38
Skarlały świat	39

Wigilia	40
Mężczyzna światłoczuły I	41
Mężczyzna światłoczuły II	42
Chleba powszedniego	43
Otwieranie serca	44
Baba rosochata	45
Ostatni kurs	46
Światłoczuła dziewczyna	47
Moje modlitwy	48
Zamysły natury	49
Przypływy	50
Sąd ostateczny	51
Pragnienie	52
* * *	53
Żniwa	54
Narodziny słowa	55
Litania światłoczuła	56
Epitafium	57
* * *	58



MAGAZYN

MBP Słupsk Centrala



182111



Wiesław Ciesielski - urodził się 13 maja 1959 r. Jest autorem tomików poezji „Kraina milczenia”(1986), „Głód”(1986), „Przypowieści o wolności”(1989), „Wielki ogród Pana Boga”(1990), „Rozrachunek z Konradem”(1995) i „Popielisko”(1999). W 2000 roku nakładem Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich ukazała się bibliografia autora.

ciesiell@go2.pl

ISBN 83-912772-6-7